

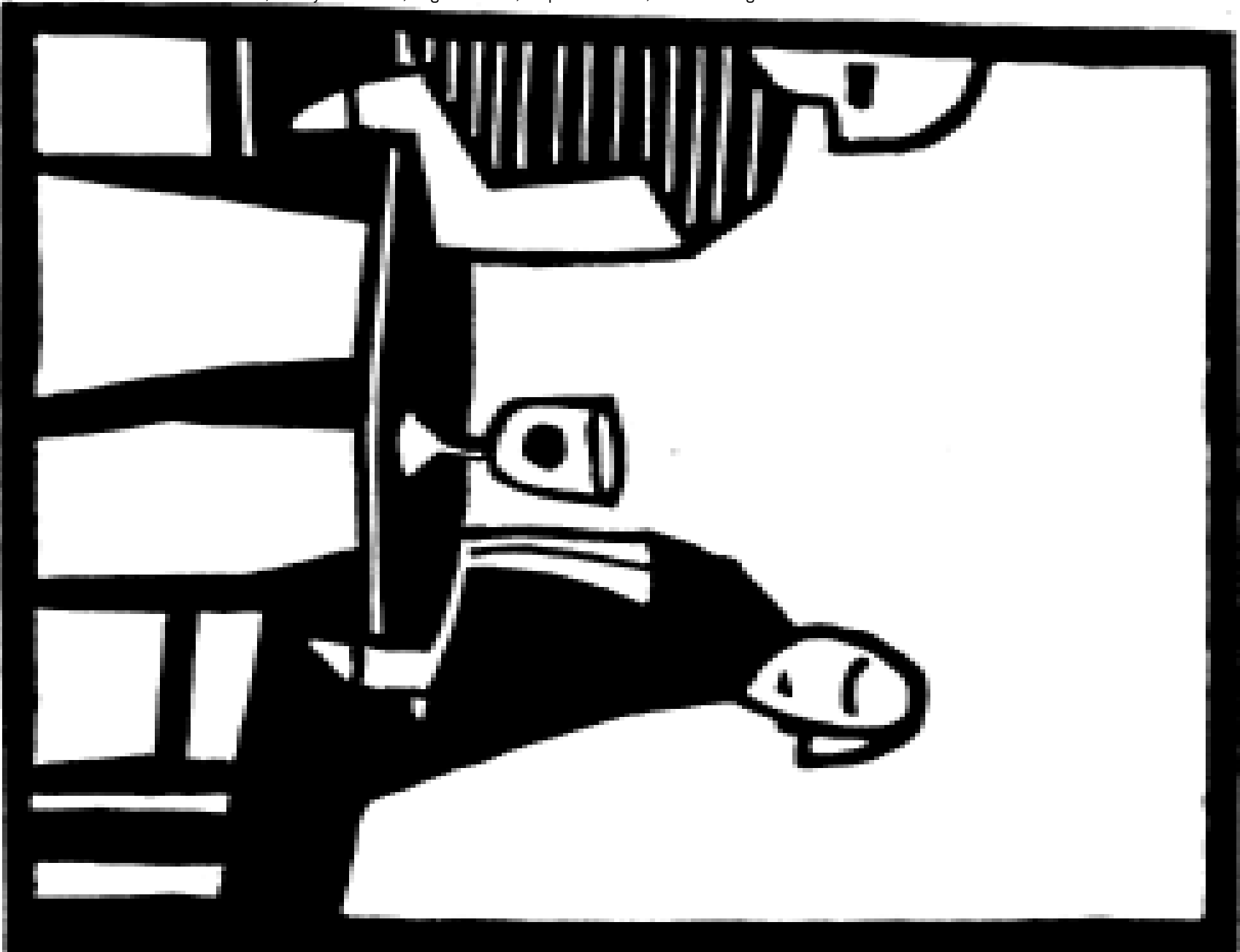
ipix

mirowkojard*

Klub **LOKATOR**, Kraków, STYCZEŃ 2011, numer 52 (rok 6)

ISSN 1699-1925

grafika: PIO 2010 *Un demi* z serii **SAMOTNOŚĆ**



*...ALE SZOPKA! PIOtr Kaliński, Jerzy Franczak, Olga Szmidt, Filip Sułkowski, Klas Östergen...



Przed czytaniem rozciąć przed rozcięciem usiąść!



mrówkojad*

KLUB I WYDAWNICTWO LOKATOR
POLSKA, Kraków, ul. Krakowska 27
lokator@pointblue.com.pl

REDAKCJA:

PIÓtr Kaliński, Jacek Olczyk,
Zuza Skoczek, Agnieszka Goławska,
Mariusz Frukacz, Gregory Michenaud,
Stanisław Kot

WSPÓŁPRACA I TŁUMACZENIA:

Agnieszka Taborska, Waldemar Libera,
Jan Gondowicz, Magda Podziewska,
Jerzy Franczak, Anna Marchewka,
Anna Tomaszewska, Andreas Jönsson,
Matthieu Gembara, Wojciech Żurek

KOREKTA:

Zespół

DZIAŁ FOTO:

Gregory Michenaud, Kuba Pierzchała,
PIÓtr Kaliński, Wojciech Żurek, Helena Giersz

ILUSTRACJE:

PIO, Thusta Żabka, Sonia, Ewa Borysewicz

KOMISJA REWIZYJNA:

Magda Podziewska

PROMOCJA: Klub LOKATOR,

Kraków, ul. Krakowska 27
www.lokator.pointblue.com.pl

WEBMASTER:

Wojciech Mróz, nezorf@pointblue.com.pl

KONTAKT Z REDAKCJĄ:

lokator@pointblue.com.pl

MIEJSCA GDZIE GRASUJE MRÓWKOJAD:

KRAKÓW: Klub Lokator, ul. Krakowska 27
Księgarnia HOUSE OF ALBUMS, ul. Tomasz 25
Księgarnia ZNAK, ul. Sławkowska 1
RZESZÓW: Klub Drukarnia, ul. Bożnicza 6
WROCŁAW: Falanster, ul. św. Antoniego 23
ŁÓDŹ: księgarnia mała litera, ul. Nawrot 7
WARSZAWA: Klub Czuły Barbarzyńca, ul. Dobra 31
BRATYSŁAWA: cafe Next Apache, Panenska 28
Instytut Polski, Nam. SNP 27
PREŠOV: Klub Christiania, ul. Hławna 105
Kawiarnia Balada, 17 Novembra 102
PRAGA: Instytut Polski, Male námesti 1
PARYŻ: Instytut Polski, rue Jean Goujon 31
SZTOKHOLM: Instytut Polski, Mosebacke torg 4
NORYMBERGA: Dom Krakowski, Hintere Insel Schutt 34
BUDAPESZT: Instytut Polski, Nagymezo u. 15



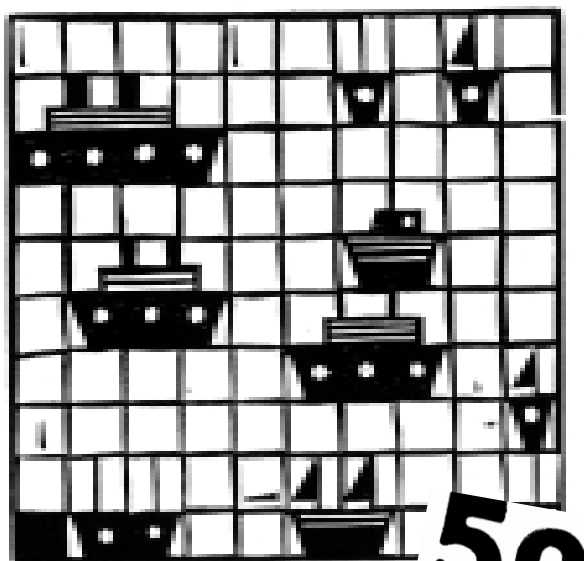
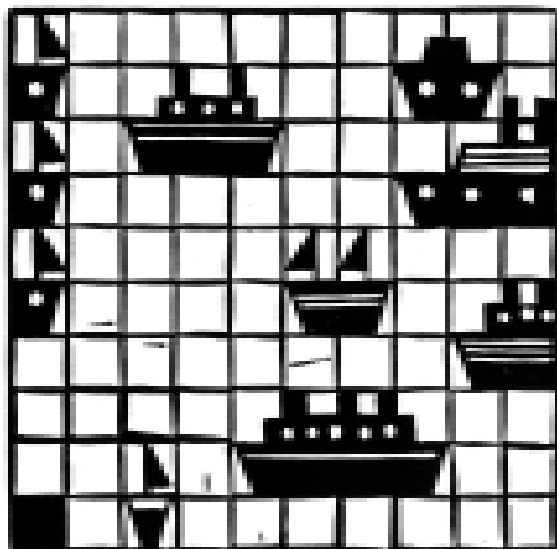
OD PORTU DO PORTU PRZY PEŁNYM WIETRZE...
SŁOWENIA, PIRAN 2010



foto: PIÓtr Kaliński, 2010 ©

MRÓWKOJADA*
DOKARMA FIRMA
WWW.IPIX.COM

ipix



Życie Bitwa Morska

PIotr Kaliński



Georges Perec wyznał kiedyś w wywiadzie, że „z *Życiem instrukcją obsługi* było trochę tak, jakbym po dwudziestu latach pisania porwał się na dzieło, w którym miałbym rozliczyć się z wszystkim, co od samego początku robiłem”. Pierwszy pomysł podsunął matematyk, Claude Berge: napisanie opowieści, w której wystąpiłyby trzy postaci, trzy przedmioty oraz trzy trzymane w ręku rekwizyty, z rozdziału na rozdział przedmioty i rekwizyty zmieniałyby swoich właścicieli zgodnie z systemem permutacji zwanym ortogonalnym bikwadratem łacińskim rzędu 10. Pomysł ten Berge jeszcze skomplikował, wprowadzając nie trzy, lecz dziesięć postaci, przedmiotów i rekwizytów. Jakby trudności było jeszcze za mało, Perec postanowił napisać nie dziesięć, lecz sto rozdziałów oraz wprowadzić dwie serie po dziesięć przedmiotów. Kolejnej inspiracji dostarczyła pisarzowi zabawa układanką: historia człowieka, który przez całe życie układa puzzle, a potem je niszczy. Do tego dołączył się, zaczerpnięty z *Diabła kulawego* Alain Rene Lesage'a obraz domu ze zdjętą fasadą. Po miesiącach rozmyślań Perec połączył kwadrat łaciński z domem pozbawionym fasady. W ten sposób powstała dziesięciopiętrowa kamienica, a każde z jej pomieszczeń miało stać się kolejnym rozdziałem książki. Perec opracował także system poruszania się po tym budynku ruchem konika szachowego. Gdyby konik skakał prawidłowo, w ostatnim rozdziale mielibyśmy za sobą wszystkie pola, a rozdziałów byłoby sto. Takie rozwiązanie drażniło jednak autora

nadmierną regularnością. Dlatego postanowił usunąć jeden z rozdziałów w sposób, który zaburzył cały system i zafałszował dalszą numerację. *Życie instrukcją obsługi* to skomplikowana gra. Powieść ciężka od autobiograficznych szczegółów, zaszyfrowanych dramatów, piętrowych reguł, których sam autor nie był w stanie objąć i o których szybko zapomniał.

W hołdzie dla Georges'a Pereca, a także ku uczczeniu pięćdziesięciolecia eksperymentalnej grupy literackiej OULIPO, Piotr Kaliński przygotował cykl 50 grafik, zainspirowanych setką rozdziałów *Życia*. Skomplikowana, matematyczna konstrukcja powieści aż prosi się o graficzne przedstawienie. PIO znalazł sposób najprostszy, a zarazem nieoczywisty zamiast szachownicy rozdziału, wyobraził sobie najprostszą kartkę w kratkę, która w jednej chwili może zmienić się w planszę do gry w okręty. Pięćdziesiąt grafik, na każdej dwie plansze obrazujące postępy dwójki graczy - to swoiste odzwierciedlenie struktury *Życia*. *Bitwa Morska* Piotra Kalińskiego nie jest interpretacją książki Pereca. Próżno na kolejnych grafikach doszukiwać się nawiązań do konkretnych rozdziałów powieści. Nie przewidział ich wszak sam artysta. *Bitwa* jest raczej hołdem dla skomplikowanej konstrukcji powieści, która zostaje rozsadzona od środka poprzez usunięcie jednego rozdziału. Na koniec znikają kratki, nie ma już pól, tylko czarne plamy, trafione-zatopione.

Anna Biogo 2010

Księga graficzna prezentowana była od 12 grudnia 2010 do 9 stycznia 2011 w House of Albums w Krakowie przy ulicy św. Tomasza 25.

foto: Gregory Michenaud, Kraków 2010 ©





STOJĘ W DWUSZEREKU.

Z Jerzym Franczakiem rozmawia Olga Szmidt
(fragment wywiadu)

OLGA SZMIDT: Swojej nowej książce nadałeś tytuł *Da capo*, stanowi ona swoistą kontynuację poprzedniej – *Nieludzkiej komedii*, historię jej drugoplanowego bohatera. To początek monumentalnego cyklu jak u Balzaka?

JERZY FRANCAK: Trudno mi ocenić monumentalność dzieła, którego zarysu nawet w tej chwili nie posiadam. Skończyłem właśnie kolejną powieść, zatytułowaną roboczo *NN*, i tam również stosuję ten prosty, balzakovski wybieg, czyli postacie trzeciego planu z *Da capo* wysuwają się na plan pierwszy. Nie wiem jednak, jak długo jeszcze wytrzymam w tej robocie, mam ochotę na jakiś skok w bok. Co nie oznacza, że zarzucę projekt cyklu.

Da capo to książka raczej nieprzyjemna. Onanizm, pedantyzm, frustrująca praca, porażki na każdym polu – zamierzasz utrzymać tę nieprzyjemną linię w kolejnych częściach?

Póki co w tym projekcie cyklu powieściowego zamierzam utrzymać tę linię – to będzie rzecz raczej ponura, zwieńczona (mam tylko projekt czwartej powieści) dziełem ironicznym, czyli jakby persyflazowo-realistycznym, utrzymanym w zupełnie innej konwencji. Na razie myślę na tym się zatrzymać. A jeżeli napiszę coś weselszego i przyjemniejszego, to raczej na boku.

A nie nudzi cię zło?

Nieee... Hm... Zło? Dostrzegasz tu zło w stanie czystym, w *Da capo*?

Przeciwnie, jest to znacznie bardziej problematyczne niż w *Nieludzkiej komedii*, gdzie był to temat główny. Stąd moje pytanie.

Zło w postaci czystej, czyli wydestylowane, tak, jak to chciałem zrobić w *Nieludzkiej komedii*, może znudzić, bo nie wiadomo, co z nim zrobić – prowadzi na brzeg jakiejś otchłani filozoficznej – można tam ze zgrozą albo ubawieniem wglądnąć i nie bardzo wiadomo, co dalej. To jest to zło absolutne i bezzasadne, które zmusza nas do jakiegoś apofatycznego uwielbienia, tak, by w milczeniu je uczcić albo zagadać. Dlatego w *Da capo* raczej interesowały mnie różne postacie... nie wiem, czy nawet zła. O ile *Nieludzką komedię* postrzegam jako rzecz opartą na jaskrawych kontrastach, o tyle tutaj dominuje pewna niejasność, szarość, zmieszanie. Nie wiem, czy byłabyś skłonna powiedzieć, że Kamil, bohater tej powieści, jest zły, czy że zło odciska się na nim?

Chodziło mi raczej o to, że *Da capo* to książka o wiele bardziej niejasna pod tym też względem. Coraz bardziej niuansujesz ten problem, a właściwie problemy, bo zło nie jest ulokowane tu w tak oczywisty sposób. To, wydaje mi się, jest też najmocniejszy punkt zmiany, która zachodzi między tymi dwiema powieściami.

Mówiąc o kontrastach w *Nieludzkiej komedii*, miałem na myśli na przykład zestawienie absolutnej obojętności i nie ludzkości Emila z czułościowością Natalii, jego ofiary. Kontrast potworności wydarzeń, tej masakry z pewną lekkością stylu i humorem. Dążąc do zniuansowania, eksploatując sferę półcenia i zmieszania, również musiałem zmienić rejestr stylistyczny. Opowieść Kamila nie stara się już przypodobać prostymi grepsami, dosadnymi sformu-

łowaniem, jest utrzymana już wyraźnie nie w tonacji buffo, tylko w tragicznym serio.

W *Da capo* pojawia się takie zdanie: Na najgłębszym poziomie komunikat był prosty, to znaczy jesteśmy świetnymi facetami, ale nic nie jest dane raz na zawsze, świetność i męskość trzeba nieustannie negocjować z innymi, w kilku jakby równoległych pertraktacjach. Co z tą męskością?

Męskość jest rzecz jasna osnową opowieści tożsamościowej. Wiesz dobrze, że w pewnym momencie rozwoju badań feministycznych, pojawiły się men's studies, które analizują analogiczne problemy związane z męskością. Niektórzy podkreślają nawet, że mężczyźni mają znacznie gorzej, bo te wzorce osobowe są jeszcze bardziej opresyjne i jeszcze trudniej znaleźć przed nimi ucieczkę. No i Kamil sobie z tym również nie może poradzić, a że ma taką kameleonową naturę, to znaczy w swoim życiu próbuje się przede wszystkim przystosować, po to, aby nie mieć do czynienia ze swoimi najgłębszymi zranieniami, dlatego bezrefleksyjnie akceptuje te wzorce męskości. Może bezrefleksyjnie to za dużo powiedziane, bo on niekiedy poddaje je refleksji, ale nie ma w niej żadnego impulsu emancypacyjnego. On nie jest w stanie się od tych wzorców uwolnić i w tym sensie również jego drogę życiową wieńczy klęska. Ostatecznie wpisuje się w dobrze znany i opracowany przez kulturę i popkulturę wzorec męczyzny, który zdradza i zostaje sam, a zarazem ponosi klęskę właśnie jako mężczyzna, wracając do rodziców i infantyliżując się ponownie.

Co zatem z postaciami kobiecymi? W twoich powieściach są podporządkowane głównej, męskiej postaci – są partnerkami, kochankami, matkami głównych bohaterów. Masz w planach przełamanie tej stałej? Nie chciałbyś na przykład napisać nowej *Panny Lilianki*?

Bardzo bym chciał i podjąłem taką nieśmiałą próbę w *NV*, gdzie można znaleźć monolog pewnej panny Mariolki. Tutaj rzeczywiście skupiłem się na problemach linii patrylinearnej, ale był to całkiem naturalny wybór. Zapewne pisanie zawsze wiąże się z sublimowaniem jakichś własnych problemów, ale nie chcę tu wchodzić w tematy autobiograficzne.

Poza tekstami prekursorów – Sartre’a, Gombrowicza, Ciorana – bawisz się także popkulturą, kliszami, stereotypami, cytujesz teksty piosenek i tak dalej. Bardzo to wszystko postmodernistyczne.

A nazywałbyś *Da capo* powieścią postmodernistyczną?

Niezupełnie, myślę raczej o twoich postmodernistycznych zagraniach.

Pytasz o postmodernizm...

Tak, Jerzy Franczak a postmodernizm.

No, cóż... Pojawiała się ta etykieta po wielokroć, przy Przymierzalni, a zwłaszcza w kontekście wcześniejszych drobiazgów nowelistycznych, opowiadań i tak dalej. To zabawne, bo niedawno podczas rozmowy z kolegami, rówieśnikami, jeśli się dokopywać do wspólnoty doświadczenia pokoleniowego...

Brzmi sympatycznie.

I natrafiłszy na taki trop, który prowadził właśnie do postmodernizmu. To znaczy wychodzenie z postmodernistycznej przestrzeni pozabawionej kierunków i głębi było jednym z ważniejszych doświadczeń formacyjnych dla mnie i moich rówieśników. Chodzi o odkrywanie wymiarów etycznych, politycznych, psychologicznych w tym, co uchodziło za płaskie i tekstowe. W tym sensie być może moja droga i moje wybory mogą się wydawać symptomatyczne, bo w znacznej mierze te moje pierwsze nowelki – *Trzy historie* i *Szmermele* – miały charakter postmodernistyczny. Zasadzały się na zabawie nieprzestawialnym, na zabawie konwencjami i nabywały autoreferencyjnego charakteru, odsyłały już wyłącznie same do siebie i do tej uniwersalnej niemożności przedstawiania świata. Zarazem najgłębsza problematyka w moim myśleniu, zarówno akademickim, jak i pisarskim, miała i ma charakter ultranowoczesny, bo chodzi o problemy z realnością, problemy z ustanowieniem silnej podmiotowości i tak dalej. W ten ponowoczesny pejzaż wniosłem arcynowoczesne problemy, które przejąłem od prekursorów.

Od jakiegoś czasu bardzo popularne stało się mówienie o polityczności literatury, jej wymiarze ideologicznym, zaangażowaniu i tak dalej. Myślisz o swoim pisarstwie jako projekcie politycznym?

To trudne pytanie, bo w ramach rozmaitych działań uniwersyteckich zajmuję się ostatnio kwestią polityczności literatury... Znowuż tutaj wkrada się pewna nadświadomość, którą podczas pisania zawieszam. Powiem tak: nie myślę o swoich powieściach jako o projekcie

politycznym, ale zdaję sobie sprawę z ich nieuchronnej polityczności. Jeżeli chodzi o *Da capo*: tabu jest rzeczą stricte polityczną. Określa granicę pomiędzy jasną sferą życia publicznego a ciemną sferą prywatności. W tym sensie na przykład każde wołanie „Niech sobie robią, co chcą, byle w domu” w odniesieniu do mniejszości seksualnych jest wołaniem przemocy. W tym sensie detabuizacja, a więc opisywanie czegoś, o czym zwykle się milczy, jest działaniem politycznym, jest przesuwaniem tej granicy. To jest nieuchronne. Natomiast nie byłbym w stanie przypisać jednoznacznego wektora politycznego swoim projektom powieściowym.

Nie chciałbyś, żeby okrzyknięto cię pisarzem lewicy czy pisarzem lewicowym?

Moje myślenie polityczne jest zdecydowanie lewicowe, natomiast nie wiem, czy da się to powiedzieć o moich powieściach. Raczej staram się, tak, jak to czynili nowocześni, mnożyć znaki zapytania, niż stawiać odpowiedzi. Nie poddaję się szantażowi niektórych krytyków, takich jak Igor Stokfiszewski, który domaga się od sztuki jednoznacznych deklaracji politycznych.

A lubisz polską literaturę?

Czy co?!

Czy lubisz polską literaturę?

Tak...

A znajdujesz w niej aktualnie kogoś, z kim czujesz literackie pokrewieństwo? Bieńczyk, Kruszyński, ktoś jeszcze?

Bieńczyk i Kruszyński, skoro ich wymieniał, to pisarze dość sofistykowani; mam feblika do takiej misternej, samoświadomej roboty. Trochę się w tych wyborach zapewne odstawiam, ale lubię też znacznie mniej wyszukane projekty literackie. Powiem tylko na początku, że bardzo trudno mi o tym mówić, bo zajmuję się wieloma sprawami literackimi i okołoliterackimi, z premedytacją tylko nie param się krytyką literacką, wyjąwszy moją zamkniętą już działalność publicystyczną w telewizji. Nie odnoszę się do tak zwanej bieżącej produkcji literackiej.

Dlaczego?

Jak mawiał Jerzy Pilch, „choćbym się zesrał, w dwuszeregu nie stanę”. Ja już i tak stoję w dwuszeregu! Wracając do pytania. Podobają mi się to, w jaki sposób kombinuje Ignacy Karłowicz, bardzo lubię prozę Janusza Rudnickiego, tak, że znajduję coś dla siebie, zdecydowanie.

Identyfikujesz się z jakimś etosem pisarskim, polskim szczególnie?

Zdaję sobie sprawę oczywiście, że jest kilka różnych etosów do wyboru i jednak nieuchronnie grawituję w stronę modelu prosaic doctus, czyli taki, co aranżuje przy pomocy układów fabularnych intrygujące go zagadnienia i problemy. Etos centralnie nowoczesny. Po raz kolejny pojawia się tu oczywiście kwestia nierozwiązana przeze mnie w żaden sposób, czyli kwestia zaangażowania.

Próbujesz robić uniki czy jasno odmawiasz udziału?

Ani to, ani to. Odmawiam udziału, jako pisarz, w tego rodzaju sporze, w którym musiałbym wyraźnie opowiedzieć się, wyjawiać swoje sta-

nowisko i precyzyjnie je uargumentować. Na przykład w tej powieści, którą właśnie niedawno skończyłem, ten wątek społeczny, polityczny, zdecydowanie gra pierwsze skrzypce. Mamy tam problem, który już po zamknięciu powieści okazał się bardzo głośnym tematem w przestrzeni publicznej, czyli wątek działań komisji majątkowej, odzyskiwania mienia przez Kościół. Poddaję namysłowi czy staram się opracować zagadnienie lewicowej wrażliwości, emancypacji i rewolucji społecznej. W sposób znacznie bardziej bezpośredni odnoszę się do tych tematów, ale bezpośredniość nie oznacza woli ich rozstrzygania.

Zastanawia mnie ciągle kwestia zaangażowania, która przebiega się jednak wyraźnie w twoich powieściach. Wypowiedź w powieści różni się rzecz jasna od wypowiedzi autora, nawet jeśli ta ma miejsce na spotkaniu poświęconemu polityczności literatury na Wydziale Polonistyki, gdzie mówisz swoim własnym głosem. Jest tu chyba pewien problem, prawda?

Tak, ja widzę ten problem u niektórych kolegów po piórze. Na przykład u Mariusza Sieniewicza, który dawno temu deklarując, iż serce ma po lewej stronie, wybrał swój etos pisarski, etos pisarza zaangażowanego, a jednocześnie cały czas się z tym boryka, ponieważ chce uniknąć mocnej perswazyjności czy prostej agitacyjności. Dlatego coraz dalej brnie w różne odmiany fantastyki. Ja wybrałem inny etos, więc obca jest mi tego rodzaju męczarnia.

Twoje skoki w bok, o których wspominałeś na początku, są bardzo interesujące. Na przykład *Pacyńki*, których współautorem jest PIO, są przecież zupełnie inne niż pisarstwo powieściowe, prawda?

Tak, tam dochodzi do takiego łagodnego złuzowania i przeboleń tych wszystkich dylematów, z którymi staram się borykać w książkach na serio, mainstreamowych powiedzmy.

To ciekawy odpoczynek, trzeba przyznać, przy czym nie pociąga za sobą obniżenia jakości produkcji, no i jest takich książek – łączących twórczość wizualną i literacką – bardzo niewiele na rynku.

Mało tego piszę, ale mogę obiecać poprawę. Mamy z PIO kilka pomysłów i pewnie je wcielimy w życie. Przede wszystkim jest to odciążenie od tej monotonnej pracy nad przyciężkami utworami...

W „Mrówkojadzie” też publikujesz swoje niewielkie teksty w towarzystwie obrazków, tym razem autorstwa twojej córki.

Tak, ale to jest część jeszcze innego projektu, eseistycznego. Parę lat temu wydałem *Grawitacje* i tam, gdzie *Grawitacje* się kończą, zaczynają się *Kwiatki*, czyli historyjki o mojej córce, i z tego powstanie, a właściwie już powstał, osobny tom. W przyszłym roku ukaże się też powieść obrazkowa, którą rysuje Filip Sułkowski (autor komiksów i ilustracji, min. *Salatki z Mrówkojada*).

Przełamujesz ten dziwny podział, który wytworzył się w polskiej literaturze – na pisarzy poważnych i niepoważnych, którzy piszą literaturę popularną, masową, niską. Łączysz, jak już mówiłam, jednocześnie poważną i lekką, bo przecież nie gorszej jakości, twórczość.

Miło mi to słyszeć, bo nie sądziłem, że takie połączenie może być ciekawe. Ale skoro tak mówisz, może się kiedyś zdobędę na coming out przed szerszą publicznością z tymi niszowymi publikacjami, które dotąd są dostępne tylko dla nielicznych.

A co z kółkami wzajemnej adoracji – teraz nie jesteś zainteresowany życiem literackim z tej strony? Głaskaniem się po kolankach pod stołem?

Tak średnio. Siłą rzeczy, bywając na różnych literackich jamboree i festynach, znam wielu

ludzi „z branży”. Również dlatego nie lubię publicznie wypowiadać się o ich dziełach.

Ale w „Czytelnia” w TVP Kultura wypowiadałeś się krytycznie na temat literatury.

Tak, „Czytelnia” wymusiła to, że wypowiadałem się o współczesnej literaturze. Ale na ogół tego unikam, np. w „Tygodniku Powszechnym”, z którym współpracuję, publikuję wyłącznie teksty dotyczące literatury obcej.

To się idealnie składa z moim wcześniejszym pytaniem o literaturę polską. Teraz w po-

wszechnym obiegu będą tylko twoje teksty na temat literatury obcej.

No tak, powiedziałem ci, że lubię literaturę polską. Nie dodałem tylko, że bardziej lubię obcą!



CAŁY WYWIAD Z JERZYM FRANCAKIM DOSTĘPNY JEST NA PORTALU E-SPLIT

kw!atki Jerzy i Sonia Franczak

PRZECENA SNÓW

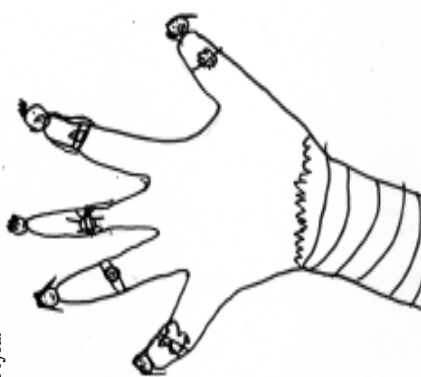
„Wprowadź się w stan snu”, radzą różni pisarze. Że niby w ten sposób powstają najlepsze dzieła. Może to i racja... Sam urządam raz na czas generalną przecenę i wyprzedzę snów. Dziś na przykład śnił mi się Tom Waits. Grał na takim podwyższeniu, był całkiem niewidoczny i śpiewał coś niedosłyszalnie. Przedwcześnie śnił mi się nieznamy krewny. Wręczył mi marynarkę i powiedział:

– Wyrośniesz z tego.

Na nogach miałem filcowe kapcie, jak w muzeum. Zwiadałem dzień filcowy. Na wieszakach dyndały niemiode wariacje o śmierci. Thusta ekspedientka pstrykała na mnie podejrziwie, aż w końcu nie wytrzymała i wybuchła:

– Co zrobiła?

– Otyła.

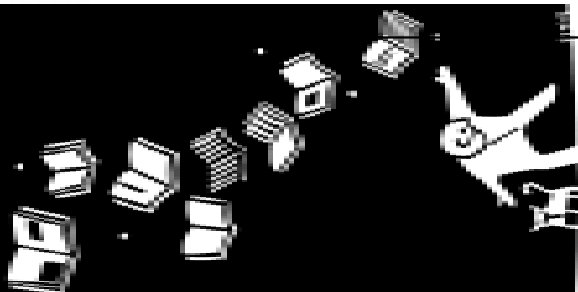


PIEŚN NAD PIESNIAMI

Ale najlepsze, najbardziej rozstrągnięte kawałki napisałem wspólnie z Januszem Jabłońskim, lata temu, podczas kursu pedagogiki. W stanie całkowitego odrętwienia, hipnozy i anabiozy, rzucaliśmy na papier po jednym wersie, na zmianę. Układało się to „automaatycznie” w absurdalne, głupio-mądre limeryki, w rozstrągniętą pieśń nad pieśniami, o jakiej nie śniło się naszym Bretonom. Na przykład: „Jeden facet z osiedla Gertrudy/Nosił spodnie, miał wąsy, był rudy/Kiedy spojrzął na Kielce,/Choć spokojny był wielce,/Spokojniejszy się stał, niż był wprzód”. Albo: „Jeden facet z Bytomia czy Elku/Miłośnikiem jest cisy lub zgłębku/I dlatego ów człowiek/Spędza innym sen z powiek./Przesuwając wciąż nożem po szkiełku”. Nic dodać, nic ująć. Nic rozumieć, nic nie rozumieć. Mówić nic o niczym, bo z pustego i Salomon nie naleje. Być niczym facet z Bytomia lub Elku, robić to lub tamto, robić nic i powiedzieć to nic.

KSIEGARNIA

LOKATOR > KRAKOWSKA 27



Przed czytaniem rozciąć przed rozcięciem usiąść!



fraszki

graszki

Każdy ksiądz wie dobrze, czemu służę panie.
Nie zgodzi się więc nigdy na in-vitrowanie.
Plemniki w tym giną, lub cierpią katusze,
A mają otrzymać nieśmiertelne dusze!
Trzeba mocno wspierać zdrowe spółkowanie!

Rzekła pewna panna z Zadębia,
Że jej się trudno prawdy wiary zgłębia.
Już rozumieć zaczyna
Tego Ojca i Syna,
Ale tego gołębia?

Częstym grzechem księży jest molestowanie.
Ofiarą jest młodzież, panowie lub panie,
Papież to potępia z wysokości tronu,
Ale nie rozumie on testosteronu,
A tu z celibatem trzeba wziąć rozstanie.



rys. Ewa Borysewicz

OLGA SZMIDT

pacynki

Bajeczki z brakiem w tle



W bajkowych utworach Jerzego Franczaka i w pochodzących z nie innej konwencji obrazkach PIOTRA Kalińskiego niemal wszystkie postaci (czy pacynki to na pewno postaci?) cierpią na rozmaite braki. Mamy tu długonosego króla bez rączek, piękną królową, która straciła głowę czy ślepego mesjasza bez nóg. Mamy też karkołomny język, urzekające grafiki i władzę, jaką dają nam autorzy. *Pacynka to bowiem utwór, jak czytamy w fingowanej definicji ze Słownika terminów literackich, nakładany na palec przez czytelnika.*

Lewa dłoń PIO i prawa Franczaka nakreśliły dwa nacieki unikalnych utworów i tyleż samo grafik. Główny pomysł tego projektu to – zadziwiająco udana – próba połączenia twórczości wizualnej z bajkową konwencją tekstu. Co wydaje się jeszcze bardziej ryzykowne – książeczka ta nie jest skierowana w dodatku do dzieci (choć może odwołujących się do takich pierwiastków, by tak patetycznie i staromodnie rzec, w duszy czytelnika). Franczak tekstem, PIO grafikami pozbawiają swoje pacynki części ciała, zmysłów, stale przypisyanych cech czy wręcznie złudzeń. Nie są to jednak mikro-makabre. Już w tytułach dzieje się coś dziwnego. Rzućmy okiem: *O małym zajączku, któremu odpadło uszko podczas ucieczki, O pięknej królownie, która straciła głowę, O bardzo złym kotku z wielką dziurą w brzuszku*. Dysonanse, zgrzyty i niejasne niezgodności, jakie powstają, gdy słyszymy na przykład o bardzo złym kotku, to stały efekt towarzyszący lekturze Pacynek. Widzimy tu bowiem zdeformowanych bohaterów dziczących bajek, którym zdarzają się rzeczy co najmniej dziwne. Książeczka ta nie oferuje kilkunastu sympatycznych historyjek, fragmentów czy urywków większych całości. To raczej pełne, choć tak małe (stosunkowo trudno oprzeć się, mimo standardowej powściągliwości

w tej kwestii, pokusie ciągłego zdabniania) niby-portreciki, w których równie niewielkie opowiadania mają objaśnić sytuację, wygląd albo dysfunkcję pacynki. Nie jest jednak tak, że teksty Franczaka funkcjonują rozłącznie, choć równoległe z grafikami PIO, stanowiąc swoiste „dwa w jednym”. Są to dwie „płaszczyzny”, które są od siebie ściśle uzależnione, wzajemnie się komentujące, dostarczające czytelnikowi uciech w dwójnasób.

Jeśli bliżej przyjrzeć się tekstom, okaże się, że korzystając z bajkowych konwencji i specyficznej nieopodradności językowej, tylko w kilku przypadkach czerpią z bajek tradycyjnych. Zdarzają się raczej nawiązania do popularnych łamańców językowych, które każdy czytelnik pamięta z dzieciństwa. Wprawdzie pamiętamy, że Król Karol kupił królowej Karolinie korale koloru koronowego, ale tu historia językowo trudnych podarków nie jest najistotniejsza. Król-pacynka był bowiem królem zjawiskowym, jakby ulepionym z kilku innych królów, i przez to nie poddawał się łatwej klasyfikacji. Trudność w określeniu, kim jest król, jeśli nie spełnia wyraźnie określonych warunków (król jednocześnie długonosy i długowłosy to, według uczonych, za wiele), składania mędrców do roztrząsania istoty królowatości (sic!).

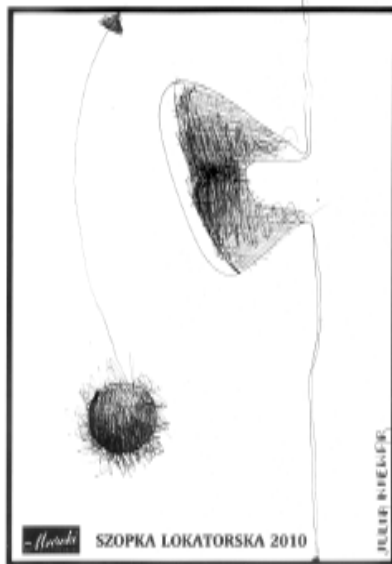
Pozornie niewinne facecje, które urząda sobie autor, mają zaskakujący ciężar gatunkowy. Nie mogę się zdecydować, czy to korzystnie wpływa na odbiór całości, czy też niepotrzebnie ją – nomen omen – obciąża. W czym rzecz? Otóż pisze Franczak na przykład (wciąż rzecz o królu bez rączek): *Nikomu z nich nie przyszło do głowy, że królowie niebawem wyginą śmiercią naturalną i cała klasyfikacja tak czy siak weźmie w łeb, uczeni zaś zajmą się zawodowo systematycznym wątpliwym. Niby nic, a jednak. W innej pacynce czytamy z kolei: Co się stało z duszą, nie wiadomo, bo nie wiadomo, czy dusza istnieje. Albo jeszcze gdzieś indziej: Jak wiado-*

*mo, życie naśladuje sztukę, a Tim zawsze cenil sobie życie. Jaki z tego wniosek? Może taki, że owszem, to pacynki, bajkowe (u)twórki, ale w dużej mierze „zrobione”, zwykle na drodze twórczej i fantazyjnej dyskusji, z innych tekstów, nie tylko tych bajecznych. Dostarczyć to może oczywiście wiele przyjemności tym czytelnikom, którzy lubują się w wyszukiwaniu nawiązań, trawestacji czy twórczych przekształceń, i kto wie, czy nie będzie to jednocześnie najbardziej pożądana i satysfakcjonująca lektura. Nie chcąc psuć zabawy (choć...), pokuszę się już o zacytowanie większego fragmentu, w którym dobrze widoczny jest charakterystyczny styl, w jakim pisane są pacynki, tym razem z *O chłopcu który choć nie chciał zostać laleczką wudu (konia z rzędem temu, kto wymyślił równie dobre tytuły): W pewnym sensie ojczym miał rację z tym nieokrzesaniem i lenistwem, co nie tłumaczy jego agresywnych zachowań. Poza tym, im bardziej on ją tłukł, tym więcej ona wpadała w trans i tak powstało charakterystyczne błędne koło, zwane też spiralą przemocy. Sytuacja była bez wyjścia, bo w grę wchodziła niezgodność charakterów narodowych. Joruba [tak, to lud afrykański, gdyby ktoś się zastanawiał – przyp. O.Sz.] musiał stać się ofiarą, a nawet kozłem ofiarnym. Kiedy znaleziono martwego chłopca z tysiącem i jedną szpilką wbitym w ciało, nie przypominał już istoty ludzkiej, lecz jeżozwierza. I tak to wygląda w całych Pacynkach – bajecznie opowiedziane utraty, straty, braki i krzywdy.**

Spod powierzchni tych – naprawdę urzekających – pacynek wyłania się coś zadziwiającego w jeszcze inny sposób. Zwrócić warto uwagę, że każdy z bohaterów (nie wiem, czy autorzy to zamierzali, ale ilość problemów, jakie nastroją próba określenia jednym słowem tego, czym są i o kim są Pacynki – bo ani postaci, ani bohaterowie nie wydają się odpowiednio oddawać ich charakteru – jest zaskakująca) cierpi z powodu cech, które posiada. Zajmują się więc autorzy nie tym, co piękne, harmonijne i łatwo ujmujące, ale wydają się wręcz konstruować – zarówno w tekście, jak i w grafikach – świat, w którym roi się od tych, którym nie udało się być postacią bajkową. Raz już od narodzenia: *Tim nie tylko był dzieckiem wybrakowanym, ale pomyłonym, gdyż przyszedł na świat jako pierworodny, podczas gdy miał być drugim z kolei potomkiem*, kiedy indziej z powodu brzydkiego zapachu z ust czy płaskostopia. Zdeformowane postaci, które zachowują pamięć swoich pięknych poprzedników, sprawiają, że spojrzeć czytelnik musi na nie z czułością, podobnie jak czynią to autorzy. Nie sposób bowiem oprzeć się wrażeniu, że zarówno w wyjątkowo charakterystycznych grafikach PIO (zajączek przebrany strażnikiem mną wstrząsnął) i nie mniej rozpoznawalnych tekstach Franczaka, nie ma miejsca na konwencjonalne rozwiązania. Nawet, jeśli to tylko bajki.

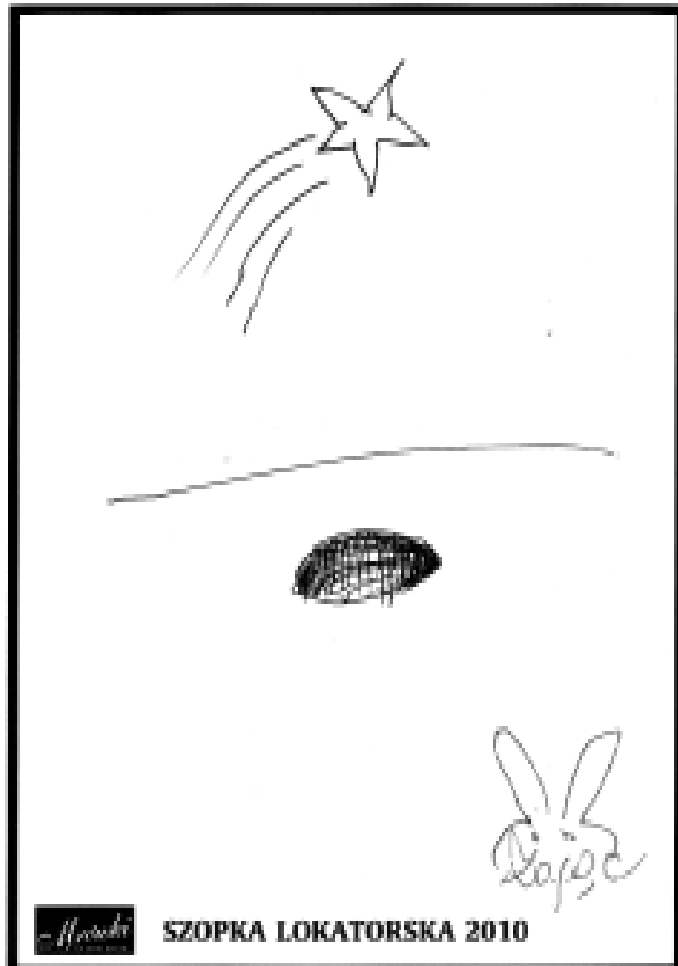
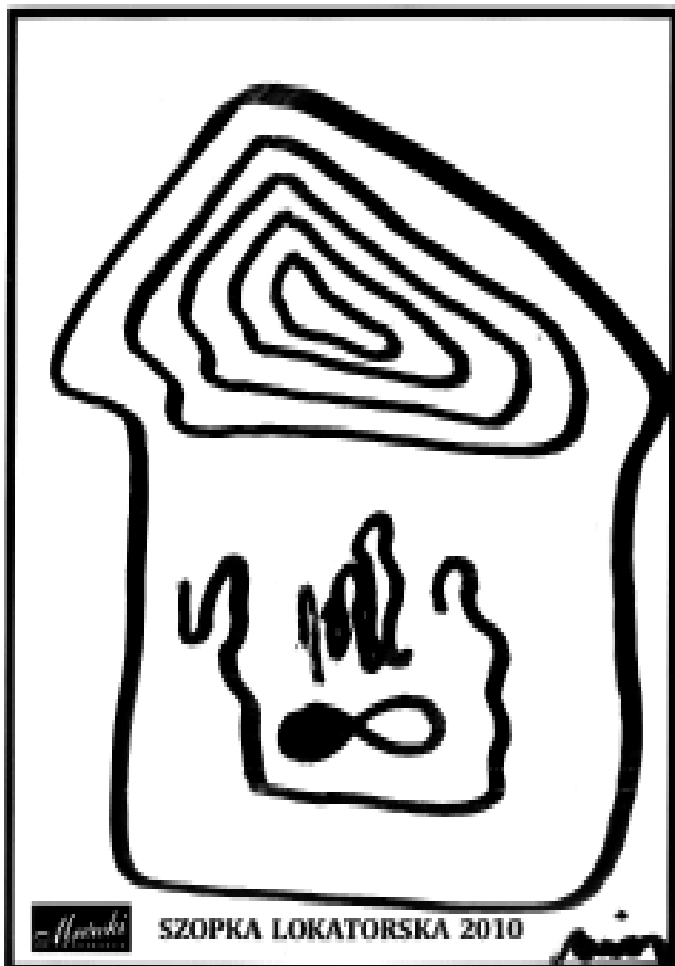


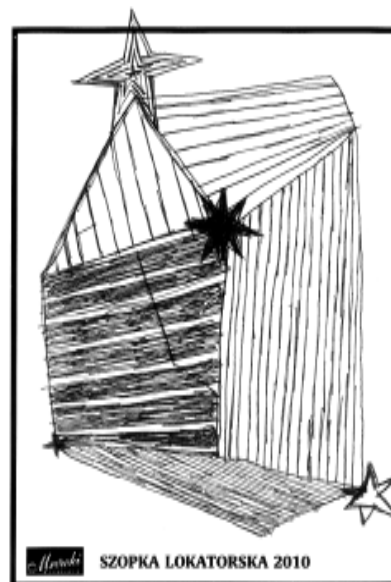
PACYNKI - Jerzy Franczak, PIOTR Kaliński
Wydawnictwo LOKATOR,
Kraków 2010



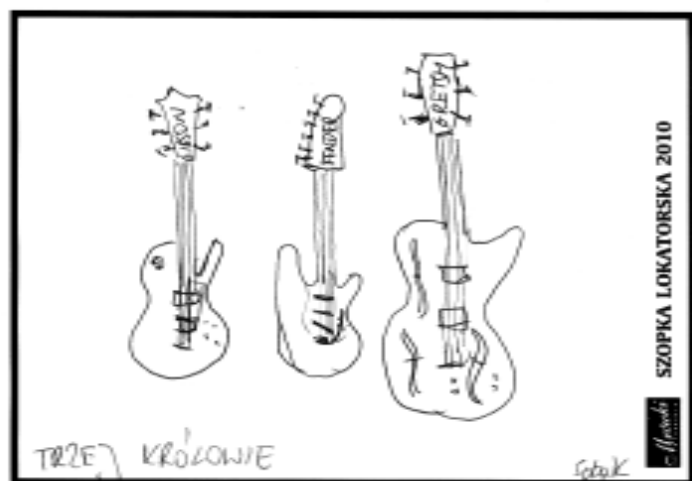
Projekty Szopki Lokatorskiej powstały 18.12.2010 podczas WIGILII LOKATORÓW. 10 rysunków jest wyborem z ponad 50 projektów zebranych podczas tego wieczoru. Imprezie towarzyszył 93 numer art-zinu „Mrówki w Czekoladzie”

... ALE SZ





ZOPKA!



GENTLEMANI

Gentlemani
Klas Östergren*

Tłum. Anna Topczewska
Dodoeditor 2010

Jest wiosna 1979 roku. Klas Östergren w ciemnym pokoju o oknach zasłoniętych storami spija historię braci Morgan, z którymi przypadkiem zetknął go los: Henry'ego, boksera, dżentelmena, sybaryty i marzyciela, i Leo, udręczonego życiem poety, idealisty i alkoholika. Wielkie i puste mieszkanie przy Hornsgatan jeszcze nie tak dawno tętniło życiem. Teraz znerwicowany pisarz jest jedynym jego lokatorem, a drzwi wejściowe zabarykadowane są szafą.

Na sześciuset stronach narrator powieści ci opisuje, co wydarzyło się w ciągu roku, jaki spędził w mieszkaniu Morganów. Odnawia wydarzenia, których był świadkiem, i te, które zostały mu opowiedziane, kreśląc portrety dwu mężczyzn, którzy bezpowrotnie zmienili jego życie.

Barwny język, żywe portrety bohaterów i realia powojennego Sztokholmu składają się na niezwykle wciągającą fabułę. Styl osadzonej w miejskich realiach powieści sensacyjnej momentami przypomina prozę Chandlera i Tyrmanda.

Gentlemani, opublikowani w Szwecji w 1980 r., zebrali doskonałe recenzje. Książka ta jest uważana za jedno z ważniejszych szwedzkich dzieł literackich ostatnich 30 lat.

FRAGMENT

Wieczór zapowiadał się wyśmienicie. Po kolacji zaczęliśmy się pacykować z myślą o nocy pełnej festiwalu.

— Musimy się ogolić — powiedział Henry. — I to ładnie. Ma to niebagatelne znaczenie...

Ogoliliśmy się schludnie. Henry z codziennych procedur czynił rozbudowane akty pełne finezji i rafinady. Zawsze mówił o Sztuce Gotowania, Sztuce Sprzątania i Sztuce Golenia Się. Henry usuwający zarost przy użyciu mydła, pędzla, brzytwy i paska do ostrzenia brzytwy to prawdziwe widowisko. Później przyszła pora na ubranka do pierwszej komunii. Henry wybrał rzecz z ciemnej flaneli, ja zaś swoją starą magiczną czerń, wypożyczyłem krawat ze zbiorów Henry'ego i w efekcie wyglądałem naprawdę sympatycznie.

Henry zdecydował, że pojedziemy do Baldachimu. Przyzwyczajony lokal, stwierdził. Ja wprawdzie nie znałem kroków tej choreografii, ale pocieszałem się w duchu, że to nic nie szkodzi.

— Dziewczęta z Sali Kolumnowej są mądre i doświadczone. Wiedzą dokładnie, jak się brać do rzeczy.

O nic niech cię głowa nie boli — uspokajał Morgan. Podjechał metrem na Centralny, przeszliśmy Vasagatan do Norra Bantorget, by o stosownej porze dotrzeć do Baldachimu. Głowa miała mnie o nic nie boleć i nie bolała. Byliśmy w doskonałej formie, a nogi same rwały się do tańca, ledwo dobiegły nas basy z parkietu.

Dostaliśmy przyzwyczajony stół w samym środku tłumy, zamówiliśmy po szklance whiskey.

— Zdecydowanie zasłużyliśmy na to wszystko, Klasie — stwierdził Henry i zapalił papierosa ruchem odrobiny zbyt wyrafinowanym. — Podsumujmy pracowity tydzień.

— Ja sporo wyprodukowałem — odparłem. — Przy najmniej ze dwadzieścia pięć stron.

— Mnie też dobrze idzie. Udało posunięcie, ta twoja przeprowadzka do mnie, nie? Wszystko gra.

— Pewnie. Nigdy nie mieszkalem tak wygodnie jak teraz.

— Miej się na baczności, chłopce — Henry kopnął mnie nagle pod stołem. — Za chwilę będzie biały walc, a ciebie do tańca poprosi czarna pani koło czterdziestki w niebieskiej sukience z lat dwudziestych.

— Chyba ci odbiło!

— Nie odwracaj się — powiedział Henry. — Nie odwracaj się! Już cię wypatrzyła, swojego baranka, swój łup. Za chwilę wbije w ciebie szpony. Słowo! Pięć dych!

— Git — odparłem. — Pięć dych!

— Mocna sztuka, nie bój się.

Wzniesiliśmy toast whiskey, rozglądając się po lokalu.

— No, do diaska, widzisz. Twoja kobyłka u płota. Właśnie spławiła tłustego bankiera. Tylko siedzi i czyha. Ciekawe, co ja sobie znajduję. Za stary już jestem na białe walce.

Zdołał poważnie rozbudzić moją ciekawość, udając więc, że lekko zeszytywniała mi szyja, musiałem odwrócić się, żeby obejrzeć panią w niebieskiej sukience z lat dwudziestych. Rzeczywiście natychmiast wbiła we mnie ciemne oczy, a wyglądała przy tym naprawdę stylowo. Uśmiechnęła się, Henry zaś sprzedał mi pod stołem kolejnego kopniaka.

— Pięć dych! — mruknął zadowolony.

Kapela równo pompowała bezpieczne bum-bum, a ludzie w radosnym upojeniu skakali po parkiecie. Miałem lekką treść, bo od dawna nie tańczyłem. Henry włączył radar i skanował po kolei wszystkie panie w lokalu. Wyglądało to raczej cienko, dziewczynki o sympatycznych buziach dały się już przekupić zaradnym sprzedawcom w marynarach w kratkę i krawatach o gigantycznych węzłach wiszących im pod brodami na podobieństwo pszennych bochnów.

Nawet nie dotarło do mnie, że to biały walc, aż poczułem stukanie w łopatkę. Odwróciłem się i rzeczywiście czekała na mnie czarna pani w niebieskiej sukience z lat dwudziestych.

— Zatańczysz? — spytała rzeczowo.

— Jeśli potrafię — odparłem i natychmiast znowu poczułem na kostce pieprzony but Henry'ego. — Mam nadzieję, że będzie wolny.

Szczęśliwie kapela zagrała jakiś bardzo spokojny utwór z „serce” i „w rozterce”, a wokalista słusznie frazował nosowym głosem, chrapliwie przedłużał wszystkie „r”, gdy zaś wyznawał dziewczynie swój zapach, jego „ł” brzmiało dokładnie jak na przedwojennych filmach. Posługiwał się „standardowym” szwedzkim kapeli grających do tańca” wyhodowanym na Szwedzkiej Liście Przebojów, najbrzydszym z istniejących dialektów. Nie mogłem nie śmiać się z wszystkich tych chrapliwych „r” i brzydkich „ł”, a pani, z którą tańczyłem, ciekawa była, co mnie tak cholernie cieszy. Wytłumaczyłem jej, ona jednak bynajmniej nie uważała tego za szczególnie paradne.

Taniec poszedł mi w każdym razie dobrze. Płynnie i lekko żeglowaliśmy po parkiecie, szczęśliwie unikając kolizji z kilkoma straszными burakami, które strasznie się rozbijały, wyjąc i pohukując do siebie nawzajem.

Betka było pani na imię i przetańczyliśmy bez przerw pięć długich tańców, więc do stolika wróciliśmy zgrani i lekko spoceni. Henry udał się na polowanie. Zaproponowałem Betce, żeby przysiadła się do mnie na chwilę, na co ona skwapliwie przystała. Rozmawialiśmy o tym i owym, a Betka okazała się bardzo sympatyczną kobietą. Była obecnie samotna, miała dwoje dzieci i mieszkała na Dalagatan — mam niedaleko, powiedziała.

Niebawem pojawił się Henry. Wygrał właśnie co nieco w ruletkę i chciał natychmiast postawić nam po fajnym drinku. Nad wyraz uprzejmie przedstawił się Betce, szastnął nogą, pocałował w rękę, a pani przyjęła propozycję. Dla niej gin fizz.

Jako stuprocentowy gentleman Henry zaczął konwersować z Betką. Wszystkiego się od razu dowiedział, nie ocierając się przy tym o wścibstwo czy niedyskreję. Betce Henry też się spodobał. Spędziliśmy razem fantastyczny wieczór. Tańczyła z nami na zmianę — uwielbiała tańczyć — a miała taką kondycję, że bez problemu rozłożyła dwóch wyjątkowo krępkich bokserów.

Później Henry także znalazł sobie towarzyszkę tej głuchej jesiennej nocy — nie udało mi się zobaczyć, kto to — tymczasem Betka i ja poczuliśmy wzajemny pociąg. W nosie miała podchody, sugestie i nieśmiałość zdanka o spaniu, łóżku i dobranoc. Walnęła prosto z mostu i bez ogródek:

— Idziemy do mnie, co? — spytała, jakby odmowa była w ogóle nie do pomyślenia, wręcz obraźliwa.

— Jasne — odparłem. — Muszę tylko powiedzieć Henry'emu.

Mój bliski przyjaciel był właśnie w połowie intensywnego oblepiania z ogromną kobietą w sukience z cekinami. Krzyknąłem mu do ucha, że się zbieramy.

– Się wie – puścił do mnie oko. – Do jutra.
– Masz tu swoje pięć dych! – wrzasnąłem, wkładając mu do kieszeni banknot.
Betka była sekretarką w jakiejś dużej firmie i miała rękę do kwiatów. Interesowała się ogrodnictwem, jej mieszkanie pachniało dżunglą i tropikami. Wszędzie stało pełno roślin, a ona przy każdym podawała nazwę oraz cenę. Nawzy od razu wylatywały mi drugim uchem, ale dotarło do mnie, że to cholernie drogie kwiatki. Za niektóre mogłaby dostać po kilka tysięcy. Może dotyczyło to wyrosniętych palm otaczających zestaw wypoczynkowy w salonie.
– Chcesz coś... Herbatę, wino albo...?
– Herbatę poproszę – powiedziałem i poszedłem za Betką do kuchni.
Tam na ścianie wisiała korkowa tablica, a na niej kupony do szkolnej stołówki, jakieś adresy i wiadomości do maluchów. Było też zdjęcie chłopaków, których od razu polubiłem. Mieli po paręnaście lat i ewidentne upodobanie do punka. Jeden zrobił sobie marchewkowe włosy, drugi lila. Wyglądali jak dwa trolle, trolle zębowe Karius i Baktus, albo Knoll i Tott.
– Mili chłopcy – zauważyłem.
– Nie są tacy straszni, jak się wydają – odparła Betka.
– Grają w jakimś zespole?
– No pewnie. Nazywają się Piglets.
– Dobra nazwa. Chętnie bym ich zobaczył.
– Możemy zajrzeć, jak chcesz.
Uchyliliśmy drzwi do pokoju Knolla i Totta, gdzie dwa punkowe trolle kimały spokojnie w chaszczach swoich liliowych i marchewkowych czupryn, otaczających im głowy jak obłoczki gazu. Marchewkowy wydawał się trochę albinosem: miał błąd cery i przezroczyste rzęsy.
– Nie sprzedawałbyś któregoś?
Betka parsknęła śmiechem i ostrożnie zamknęła drzwi, żeby nie pobudzić trolli.
– Nie wytrzymałbyś. Powinieneś usłyszeć, jak ćwiczą. Trzeba wtedy wyjść z domu.
Piliśmy herbatę w dżungli w salonie, a Betka mówiła o swoich roślinach, czy raczej: do swoich roślin. Potem przysłała pora iść do łóżeczka.
– Jesteś moim najmłodszym kochankiem – powiedziała Betka w sypialni.
– To ja jestem kochankiem?
– A co myślałeś? – odparła i rozebrała mnie jak mاما.
– Masz sons and lovers – zauważyłem.
– Tak trzeba, inaczej nie da się żyć. Tylko bez szaleństw.
– Obiecuję.

Kiedy wróciłem do domu w sobotę rano, Henry uwodził właśnie się ogolił – żeby zawsze wyglądać schludnie, powinien to robić kilka razy na dobę. Na stole w kuchni piętrzyły się resztki śniadania dla dwojga. Nalałem sobie filiżankę letniej kawy, opadłem na krzesło i zacząłem przeglądać gazetę.
– Jak minęła noc? – zapytał Henry, pogwizdując radosne serenady.
– Cudownie – odparłem. – Chociaż dzisiaj rano zrobił się niezły Sajgon.
– Stary wrócił?
– A gdzie tam, nie ma żadnego starego.
Mimo to jednak miałem kiepski poranek. Najpierw obudził mnie piekielny hałas, bo punkowe trolle Knoll i Tott zaczęły ćwiczyc na elektrycznym basie i garach, aż dom trząsł się w posadach. Betka, ubrana już i umalowana, rzęka i żwawa, chciała zaciągnąć mnie do miasta na zakupy, ale mnie tak od tego punk rocka rozboleła głowa, że nie zdołałem nawet przełknąć śniadania.
– Okej. To może odezwij się czasem – powiedział i pocałowała mnie w usta. Nie była za grosz sentymentalna; wyobrażam sobie, że kobiety w jej wieku nie mają już złudzeń. Tak coś w ten deseń.
– A tobie? – spytałem Henry'ego.
– I'm in love again – zaśpiewał z naiwnie zakochanym miną. – She's at the closet, making-up.
– A więc to takie buty! Jakaś walkiria?
– Yes, sir.
Nie zdążyliśmy wymienić więcej grypsów, gdyż

oto w kuchni objawiła się nowa miłość Henry'ego. Płasała się gdzieś w okolicach górnej granicy wagi średniej, miała ze trzydzieści siedem lat, długą suknię z cekinami, buty na wysokich obcasach i ciężki, barokowy makijaż.
– Sie masz – wyciągnęła do mnie rękę. – Sally Syrén.
– Cześć, Sally – powiedziałem. – Ładnie się nazywasz. Ja mam na imię Klas.
– A, czołem, Szczurku-Drzewołazie, ha-ha-ha! – zagrziała Sally ostrym i, delikatnie mówiąc, podekscytowanym głosem.
Głos Sally był tak ostry i przenikliwy jak głos kobiety, z którą prowadził się duński prestidigitator Truxa, a która czytała w myślach i porozumiewała się z magikiem telepatycznie.
Odnosiłem wrażenie, jakby ta noc również Harry'emu i Sally udostępniła jakiś niewyraźny rodzaj kontaktu telepatycznego, bo nie musieli nawet na siebie zerknąć, żeby dyskretnie zacząć chichotać z czegoś, o czym nie wiedziałem. Zachowywali się jak para nastolatków, które przed chwilą obmacywały się w szafie, a teraz, bardzo dumne ze swojego dokonania, chcą, żeby cały świat się o tym dowiedział, chociaż nie powiedzą nic wprost. Wszystko zawierało się w drobnych gestach i powłóczyściach, maślnych spojrzaniach.
Sally jednak nie należała do zbyt romantycznych i już smygła po kuchni, żeby „trochę ogarnąć”.
– No, chłopaczki – przegoniła Henry'ego znad zlewu. – Oczywiście typowe z was stare kawalery – ciągnęła, biorąc się do zmywania. – Już ja się tym zajmę.
Sally kręciła się po kuchni jak Ajax-tornado w opakowaniu z cekinami, pouczała Henry'ego, mnie zaś lała za nasze niechlujstwo.
– No, paskudne stare kawalery – powtarzała w kółko. Co jakiś czas gwałtownie hamowała w połowie swoich ważnych zajęć, by wskoczyć Henry'emu na kolana i pocałować go w usta. Gruchali jak dwa gołąbki, chichocząc i podszczypując się po policzkach.
– Mój ty koguciku – mówiła Sally.
– Mój ty prosiaczkę – mówił Henry, szczypiąc panią w sado, na co ona z piskiem podrywała się na równe nogi.
Mnie od ich gruchania niewąsko już mdliło, toteż poszedłem do siebie. Mimo że dzieliły nas dwie pary drzwi, z kuchni wciąż dobiegał głos Sally Syrén, która gorliwie i opiekuńczo udzielała Henry'emu szczegółowych porad co do prowadzenia domu.
– No, paskudne stare kawalery – tak w koło Macieju. Po jakimś czasie zrobiło się cicho, trzasnęły jedne drzwi, potem drugie. Podreptali do sypialni Henry'ego, a kilka minut później znów usłyszałem jej głos.
– Ooo, Hnnnnrryyyy... Oo... oo... – jęczała namiętnie z sypialni za czworgiem drzwi.
Ich ekscesy ciągnęły się jeszcze ze dwie godziny, aż wreszcie Sally musiała lecieć. Ja tymczasem usiadłem w Bibliotece, żeby popracować, bo to jedyny sposób na złagodzenie kaca. Nie było to jednak takie proste, gdyż rozognione westchnienia Sally Syrén grzmiały w całym mieszkaniu, chociaż włączyłem radio.
W końcu Sally wetknęła do Biblioteki swoją wylakierowaną głowę i rozdziawiła dziób:
– Papatki, Szczurku-Drzewołazie – i zniknęła, wniebowzięta, uszczęśliwiona przez kochanka Henry'ego Morgana.
Kiedy wreszcie znów zapanował spokój, Henry-sybaryta przyszedł do mnie, aby oznajmić, że się zakochał, zabijał po uszy. Nawet trochę młodziej wyglądał, mimo nieprzespanej nocy. Twarz miał ładnie ogoloną, a worki pod oczami wyglądały się i zbłądły od kaskady buziaków.
– I w dodatku tak pięknie się nazywa – powiedział Henry. – Sally Syrén... – powtarzał kilka razy, jakby smakował słowa, chcąc ożywić wspomnienie ulotnych pocałunków. – Napiszę dla niej piosenkę – postanowił zakochany, po czym delikatnie zamknął za sobą drzwi. – Miłą, ładną piosenkę – dobiegło skromnie z przedpokojem.
W gruncie rzeczy raczej sceptycznie podchodziłem do namiętności Henry'ego. Sally Syrén była cokolwiek ordynarna i przypuszczałem, że to tylko krótkotrwała pomyłka, potem człowiek otrząśnie się z odurzenia, przerażony, co zrobił, powiedział i naobiecował, ona zaś będzie niezwykle uciążliwa w kontakcie. Henry Morgan dokładnie podpadł pod tę kategorię.
Do kolacji piosenka była gotowa: Śłodka Sally Syrén, nosiła tytuł, a słysząc lekką, ulotną melodię oraz tańczący akompaniament, miałem niemałe kłopoty z wyobrażeniem sobie tego natrączywego tornado wagi średniej, długiej sukni z cekinami, butów na wysokim obcasie i mocnego makijażu, które parę godzin wcze-

śniej przetoczyły się przez nasze mieszkanie.
– Sympatyczna piosenka – powiedziałem. – Bardzo sympatyczna. Zastanawiam się tylko, czy nie jesteś aby za bardzo romantyczny? Sally sprawia wrażenie osoby... twardo stąpającej po ziemi, że się tak wyrażę...
– Nie dotuj mnie, Klasie – poprosił Henry zwiędzionym tonem. – Dlaczego zawsze musisz mnie dołować?
– Ależ ja wcale nie mam zamiaru cię dołować! Może zwyczajnie mam kaca...
Henry opadł na fortepian, jęknął, westchnął głęboko i zobaczyłem, że już po ptokach. Ukrył twarz w skrzyżowanych ramionach, słyhać było, jak płacze, bezradnie pociągając nosem. Mokry klawisz między C a F.
Usiadłem na dywanie i również westchnąłem. Zaisie był to dzień smutku i utrapienia na tym padole kaca i leż.
– Przepraszam, zachowałem się niedelikatnie – powiedziałem. – Mogłem sobie darować...
Henry skinął głową.
– Mooomy chyba troou pou mm... – wyjęczał prosto w fortepian.
– Nie rozumiem, co mówisz.
Henry podniósł głowę, łypnął przez okno na szaroburą Hornsgatan. Potem odwrócił się do mnie, na policzkach miał ślady leż.
– Możemy chyba trochę poudawać? – powtórzył. – Człowiek musi mieć prawo czasem trochę poudawać.
– Oczywiście, że tak – zgodziłem się.
Henry wyciągnął wyprasowaną chusteczkę, wytarł nos i niespodziewanie wyszczerzył się od ucha do ucha.
– One są okrutne – powiedział, pociągając nosem. – Tak cholernie szczerze i wprost...
– Jakie one?
– Sally powiedziała, że jest mężatką, a męża i dzieci kocha nade wszystko na świecie. Widać było, że nie kłamie. Nie, do diaska, nigdy więcej się nie zakocham. Swoją drogą nie jestem zakochany, ani trochę, tylko udawałem, żeby sprawdzić, jakie to uczucie. Od ostatniego razu upłynęło bardzo dużo czasu.
– U mnie też – powiedziałem. – Cholernie dużo czasu od ostatniego razu.
Henry znowu zaczął brzdąkać na fortepianie, tym razem znacznie bardziej powściągliwie, spokojnie i już bez fałszywych uniesień. Brzmiało to, jakby Mozart próbował bluesa. Grał teraz szczerzej, a ja opadłem na dywan, zamknąłem oczy i tylko słuchałem.
– In the mood for Maud – śpiewał Henry cicho. – In the mood for Maud – jęczał jak prawdziwy król czarnego bluesa.
Domyśliłem się, że na jakiś czas zniknie. Zmył się jeszcze tego samego wieczoru. Sally Syrén zaledwie przypomniała mu o Miłociu.



***Klas Östergren (ur. 1955 w Sztokholmie) jest autorem osiemnastu powieści, kilku tomów opowiadań, scenariuszy telewizyjnych i filmowych, wreszcie licznych przekładów, w tym wybranych dramatów Henryka Ibsena i powieści J.D. Salinger.**

Wszystkie tytuły wydawnictwa Dodo editor dostępne są w księgarni klubu LOKATOR





Mlegaria Trynidad
Rydzina wycieczkowa, Przechodząca
wystarczanie podłogi Trynidad do ujścia
Wielkiej Rzeki na początku XIII wieku.
Artyści niemiecki, Rasmussen na karcie.

STACJA ORBITALNA TRYNIDAD

Vistuliada z Lokatorskim akcentem

Z Filipem Sułkowskim rozmawia Bartłomiej Sułkowski

Wisła jest szlakiem żeglownym od zamierzonej starożytności, co najmniej od V wieku przed naszą erą służyła handlowi. Już w średniowieczu spławiano nią zboże, węgierskie wina, drewno, zaś w górę rzeki płynęło flandryjskie sukno. Aż do XVIII wieku handel wiślany był najważniejszą osią, wokół której kręciła się cała gospodarka Rzeczypospolitej. Rozbiory Polski ograniczyły znaczenie gospodarcze rzeki, nadal jednak żeglowano po rzece, w połowie XIX w. pojawiły się parowce. Współcześnie Wisła nie ma istotnego znaczenia w transporcie, co stanowi dla miłośników przygód dodatkową zachętę do zmierzania się z tym blisko tysięcznym szlakiem wodnym, przeważnie nieuregulowanym, zaskakująco urozmaiconym i dostarczającym wielu wrażeń. Na początku lat 80-tych ubiegłego wieku ukazała się popularna do dnia dzisiejszego „Moja prywatna Vistuliada” Wojciecha Giełżyńskiego, reportaż opisujący spływ do Bałtyku na małej łodzi wiosłowej, w przeddzień planowanej wówczas, lecz dotąd niezrealizowanej budowy szeregu zapór mających ująć w karby ostatnią chyba w środkowej Europie dużą „dziką rzekę”. Obecnie coraz popularniejsze stają się wśród wytrwałych samotne spływy kajakowe całą długością żeglownej rzeki.

W sierpniu bieżącego roku szlak wodny na odcinku od Ispiny koło Nowego Brzeska do ujścia Wisły Śmiałej do Zatoki Gdańskiej pokonała w trzy tygodnie „Trinidad” - niewielka łódź żaglowo-wiosłowa. Większą część ponad 800 kilometrowej trasy uczestnicy pokonali na żaglach, nocując zwykle na piaszczystych wyspach lub łakach nadbrzeżnych. Limanowianin Filip Sułkowski był jedynym stałym członkiem załogi, który odbył wiślany podróż od początku do końca.

Na wstępie proszę o zaprezentowanie czytelnikom Mrówkojada* łodzi i uczestników wyprawy.

Pomysł zrodził się w czasie zeszłorocznych wakacji na Mazurach. Po powrocie do Krakowa wspólnie z Piotrkim Salwą i Miłoszem Sanetrą zawiązaliśmy nieformalną spółkę mającą na celu zbudowanie łódki i spłynięcie nią do morza. Zdecydowaliśmy się na model Salmo s-15 lugger niewielką czternastostopową łódź z żaglem lugrowym, stylizowaną na dziewiętnastowieczne łodzie rybackie z okolic Bretanii. Tu ciekawostka: prototyp tej łódki, zaprojektowany w Legionowie, powstał z myślą o pływaniu po fiordach Norwegii. Przez Internet zamówiliśmy plany i zestaw podstawowy (wycięte komputerowo elementy ze sklejki wodoodpornej). Problemem był jednak brak odpowiedniego miejsca na naszą maszynię. Tu z pomocą przyszli nam Paulin z Anką, które udostępnił nam na czas budowy swój dopiero co wykonany garaż w Wieliczce. Anka została później matką chrzestną naszej łódki. Budowa trwała 10 miesięcy, w tym mieliśmy około 4-5 miesięcy przerwy. Prace uległy znacznemu przyspieszeniu w lipcu i siódmego sierpnia wieczorem Trinidad był już gotowy do wyprawy.

Wystartowaliście 8 sierpnia przed mostem w Ispinie, skąd wybór takiego miejsca, czemu nie Kraków?

Pierwotny plan zakładał rozpoczęcie wyprawy w Tyńcu i, jeśli by czas i pogoda pozwoliła, dotarcie do legendarnych brzegów Zatoki Puckiej. Z materiałów zebranych w Internecie wynikało, że są trzy miejsca, które trzeba wziąć pod uwagę stopień wodny *Przewóz* w N. Hucie, który przy niskich stanach wody jest nieczynny (płytko i wystające z dna głązy), katarakta na rzece przed N. Brzeskiem (poradniki zalecają rekonesans i stanowczo odradzają płynięcie w nocy lub we mgle), oraz pneumatyczny jaz przy elektrowni w Polańcu (większe jednostki muszą meldować w elektrowni chęć przepłynięcia kilka dni

wcześniej). Niestety okazało się, że trzy ślasy na terenie Krakowa są zasypane piachem po majowych powodziach, musieliśmy więc znaleźć miejsce poniżej katarakty, z drogą dojazdową w okolicach mostu w Ispinie. Rekonesans automobilowy potwierdził słuszność założenia droga dochodziła do samej rzeki. Dodatkowym atutem miejsca była dość spora plaża, na której mogliśmy odprawić rytuał wodowania. Dwa dni później okazało się, że stan wody podniósł się i plażę diabli wzięli a droga tak rozmiękła, że nie było mowy o zwodowaniu łódki na wózek slipowy.

Szczęściem Piotr pomyślał o zorganizowaniu małego „grillowego event’u”, na który przyjechało ponad 20 osób. Dzięki temu było dość ręk do zniesienia łódki w lepkiem, głębokim błocie.

To był rok powodzi, ale sierpniowa Wisła okazała się przychylna. Przez pierwsze dziesięć dni żeglugi mieliście przeważnie słoneczną, upalną pogodę, a niski stan wody pozwolił nocować na piaszczystych łakach na środku rzeki. 17 sierpnia zapisałeś w SMS-owym dzienniku pokładowym: „W południe z fasonem przepłynęliśmy na żaglach pod warszawskimi mostami”. Jak wygląda Wisła między dawną a obecną stolicą Polski?

Ilość atrakcji krajoobrazowo-przyrodniczych jest tak ogromna, że szczegółowe opisanie wystarczyłoby do grubej książki. Miłosz, który płynął przez pierwszy tydzień, skwitował to krótko: „gdyby jeszcze woda była czysta, to byłby raj na ziemi”. Już pierwszego dnia zaskoczył nas widok wysokich wzgórz na lewym brzegu, których strome, trawiaste zbocza wspaniały się około 50 m ponad poziom rzeki. Od ujścia Sanu rzeka rozlewa się na kilkaset metrów i zaczyna się prawdziwie królestwo piaszczystych wysp i ptaków. Plaże z białym piaskiem ciągnęły się czasami przez setki metrów i krajoobrazy mogły

by spokojnie udawać Karaiby albo Morze Śródziemne. Wisła od Zawichostu do Plocka jest nieregulowana i jest największą dziką rzeką Europy. Ten odcinek rzeki jest też najbardziej wart polecenia.

Większą chyba część trasy na tym odcinku pokonaliśmy wykorzystując siłę wiatru. Jak żeglujecie się po rzece takiej jak Wisła – szerokiej, ale przeważnie nieregulowanej?

Wisła dla kajakarza nie będzie wielkim wyzwaniem. Natomiast żegluga po niej wymaga uwagi i ciągłej obserwacji rzeki, która nieuwważnego sternika potrafi zepchnąć na bystrze lub płyciznę. *Trynidad* jest łodzią żaglowo-wiosłową, przy czym wiosła stanowiły tylko „napęd pomocniczy”. Ożaglowanie lugrowe, wywodzące się w prostej linii od żagli arabskich i łacińskich jest niezwykle efektywne przy swej prostocie obsługi. Dzięki temu mogliśmy halsować ostro na wiatr, by w razie potrzeby szybko zrzucić żagiel i ratować się wiosłami. Nurt wije się w korycie tworząc łachy, wyspy i laguny, więc cała sztuka polegała na znalezieniu przejść między mieliznami (na które zresztą nieraz wpływaliśmy). Kilka razy zdarzyło się nam wpłynąć w złą odnogę rzeki (szlak jest bardzo słabo oznakowany w środkowym biegu rzeki), po czym musieliśmy przeciągać łódkę w wodzie po kostki. Dodatkowo musieliśmy uważać na kamienne ostrogi i wiry, jak również zatopione konary drzew.

W drugiej połowie sierpnia warunki pogodowe znacznie się pogorszyły...

Między Zakroczymem a Wyszogrodem zaczęło silnie wiać. Fale dochodziły chwilami do 1 metra, co dla naszej łódki było stanowczo za wiele. Próby płynięcia na zrefowanym żaglu lub wiosłach niewiele dawały – fala po prostu cofała nas pod prąd. Pierwszego dnia czekaliśmy do wieczora, aż wiatr na tyle ucichnie, żeby postawić żagiel. Udało nam się dotrzeć do Wyszogrodu, gdzie spaliśmy w nieprzyjemnych warunkach na betonowo-kamiennym nabrzeżu (niestety miejsce to okazało się ulubionym miejscem lokalnej młodzieży w przetunningowanych samochodach). Jednak prawdziwe kłopoty mieliśmy następnego dnia. Rano wiatr znów się wzmógł, więc postanowiliśmy spróbować wyjść na wiosłach. Ponieważ znów falowało, aby ustabilizować kurs łódki, którą rzucano na prawo i lewo, opuściliśmy miecz. Niestety wpadliśmy na kamienną rafę, której przez dużą falę nie zauważyliśmy. Silny wiatr w tym miejscu prąd obrócił nas bokiem i *Trynidad* mocno się wychylił na lewą burtę. Rzuciliśmy się na drugą stronę, żeby zapobiec wywrotce i tylko czuliśmy jak klejony miecz orze po kamiennych. Trwało to chwilę i zaraz potem próbowaliśmy wyciągnąć miecz. Niestety okazało się, że go złamaliśmy. To był najgorszy dzień spływu. Ponieważ wiatr się stale wzmacniał z trudem dopłynęliśmy do dużej wyspy 3 km niżej i tam spędziliśmy cały dzień. Następnego dnia wypogodziło się zupełnie i próbowaliśmy płynąć na żaglu. *Trynidad* bez miecza jednak tępo płynął na wiatr, miał spory dryf, ponadto ciężko reagował na ster i każdy zwrot musiał być wspomagany wiosłami. Niewiele miało to wspólnego z żeglowaniem,

więc po krótkim czasie postanowiłem dokonać improwizowanej reperacji. Za pomocą nieśmiertelnej taśmy klejącej skleiliśmy dwie połówki miecza i wciśniliśmy go na sztywno w skrzynkę mieczową. Ponieważ miecz trzymał się na słowo honoru, płynęliśmy bardzo ostrożnie, uważając na mielizny. Aliści *Trynidad* zaczął poprawnie reagować na ster, dryf ustał i szczęśliwie dopłynęliśmy do Plocka, gdzie następnego dnia przyjechał Piotrek z zapasowym mieczem.

Jak przeszliście zalew włocławski, zwany nieco żartobliwie „Bajkałem Mazowsza”, raz dla swego podłużnego kształtu, dwa dla wysokich fal i wiatrów utrudniających żeglugę?

To określenie, które znalazłem na blogu kajakarza, który spłynął Wisłą kilka lat wcześniej. Północno-wschodni brzeg jeziora jest wysoki i trawiasty, przewyższenia sięgają kilkudziesięciu metrów. Ostrzegano nas wcześniej przed silnymi zachodnimi wiatrami na zalewie, które potrafią wzburzyć brzydką, krótką falę o wysokości do 2 m. zalew jest długi na 50 km i szeroki na 2,5 km powoduje, że wiatr ma się gdzie rozhułać. Nam jednak pogoda wtenczas sprzyjała i mieliśmy sporo frajdy z żeglowania po tym sporym jeziorze.

Przejście przez zaporę umożliwia słuza o skromnych wymiarach 111 m dł, 10 m szer. I 12 m różnicy poziomów. Nasz *Trynidad* o dł całkowitej 4.68 m z trudem się tam zmieścił. Niestety obsługa słuzy nie zgodziła się zakwalifikować naszej kogi do kategorii „łódzie wiosłowe” i musieliśmy zapłacić pełną stawkę jako żaglowiec - 6 zł 24 gr

Od Torunia do ujścia Wisły jest uregulowana, nie nudziło się Wam trochę na tym odcinku?

Tuż za zaporą Wisła traci swój dziki charakter. Jest już prostym kanałem o dość silnym nurcie. Rzeczywiście ostatni etap był dla mnie najmniej ciekawy krajobrazowo, ale pogoda w kratę nie pozwalała się nudzić. Od Bydgoszczy rzeka skręca na północny wschód i więcej dotychczas wiatry zachodnie stały się naszym sojusznikiem. Dzięki korzystnemu wiatru od baksztagu (wiatr wiejący od tylnej ćwiartki łodzi) osiągnęliśmy z nurtem zawrotną prędkość około 16 km/h. dzięki temu w dwa dni zrobiliśmy lekko 150 km. W międzyczasie okazało się, że uszkodzona na rafie koło Wyszogrodu skrzynka mieczowa zaczęła przeciekać, zmuszając nas do wyciągnięcia łódki na brzeg i prowizorycznej naprawy.

26. sierpnia dotarliście do słuzy przy wyspie Sobieszewskiej, widzieliście ujście Wisły do morza, od którego dzieliło Was około 4 kilometry. Sztorm pokrzyżował jednak plany wyjścia na Bałtyk...

Chwila, w której zobaczyliśmy ujście była bardzo wzruszająca. Ten wieczór spędziliśmy na długich rozmowach przy butelce rumu i cygarach. To był jeden z przyjemniejszych wieczorów na wyprawie. Niestety następnego dnia pogoda się załamała, a wiadomości meteo nadsyłane drogą sms'ową z Krakowa nie napawały optymizmem. Silny wiatr północny dochodzący do 40km/h spowodował cof-

kę na rzece i fale. Ponieważ tego dnia w nocy miał przyjechać Miłosz wraz z wsparciem dziewczęcym, musieliśmy znaleźć miejsce, które było by trudne do znalezienia po zmroku. Próba spłynięcia do przystani promowej dwa km niżej skończyła się fiaskiem. Po około 15 minutach wyżęzonego wiosłowania pokonaliśmy dystans... dwóch metrów. Ciągnięcie łódki na cumie wzdłuż brzegu również nie wchodziło w rachubę, ponieważ brzegi w tym miejscu umocnione były brzydkimi kamyczkami, co przy dużej fali mogło by się skończyć źle dla łódki. W końcu zdecydowaliśmy popłynąć kawałek z wiatrem w górę rzeki i schronić się w opuszczonym porcie łodołamaczy. To była dobra decyzja. Dozorca pilnujący tego reliktu PRLu wskazał nam opuszczone pomieszczenia gospodarcze, w których mogliśmy się schować przed wiatrem i wysuszyć rzeczy. Klimatu dopełniało stadko kóz, które płało się leniwie po całym porcie.

Do słonej wody jednak dotarliście?

Niestety nie dane nam było wypłynąć na pełne morze, niemniej dwie komisyjnie wykonane próby (każdy po kolei wkładał palec do wody i go komisyjnie oblizywał) potwierdziły zawartość soli u ujścia Wisły Śmiałej.

Jako jedyny członek załogi stawiałeś żagle, sterowałeś lub wiosłowałeś przez trzy tygodnie, nie miałeś chyba potem problemów z chodzeniem po lądzie, jak radzieccy kosmonauci wracający ze stacji orbitalnych?

Trudów jako takich nie było. Najbardziej dokuczliwe były komary (kąsały tylko od 18 do 22, ale w ilościach mogących powalić słonia), upały, a w trzecim tygodniu silne wiatry z deszczem. Pierwszy tydzień był bardzo upalny i praktycznie nic nie wiało. Z kijków od namiotu i grubej plandeki skleiliśmy niewielki daszek, który chronił nas przed spalaniem i gwałtownymi ulewami. Konstrukcja była o tyle dobra, że pozwalała również swobodnie wiosłować. Pewną niedogodnością był też piasek, który po kilku dniach był już w każdym możliwym miejscu, ze szczególnym upodobaniem do zapasów jedzenia. Tu jednak szybko zmieniła się percepcja, i Adrian, towarzysz ze środkowego tygodnia rejsu, na pytanie, czy nie przeszkadza mu piach w sucharach odpowiedział ze stoickim spokojem: „nie, najwyższej będą bardziej «crunchy»”.

Jakie plany na przyszłość?

Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, chcielibyśmy w przyszłym sezonie przepłynąć Polskę wszcz, tzn od wschodniej granicy na zachód. Trasa zaczynała by się na Bugu, wiodła by pięcioma rzekami (w tym odcinek Wisły), i kończyła na Zalewie Szczecińskim lub Rugii. Jednak na razie to tylko są plany.

Dziękuję za rozmowę.

**Bartłomiej Sułkowski
Wywiad ukazał się w gazecie „Echo Limanowy” 2010**

www.dkr.alte.pl/trinidad



Agnieszka
Taborska

INACZEJ

INACZEJ NIŻ W RAJU*

Do Meksyku pojechaliśmy z oporami, bo mieliśmy dużo pracy, w związku z czym próbowaliśmy nawet podróż anulować. Ale że łatwiej bilety kupić niż zwrócić, pod koniec marca znaleźliśmy się na Jukatanie. Nasze przedwyjazdowe wahania związane były może z faktem, że dwoje znajomych stamtąd nie wróciło. T. rozjechała motorówka, J. spadła z jakiegoś zabytku. Nam jednak wyprawa udało się nadzwyczajnie. Nigdzie indziej nie powtarzałam z podobnym uporem, że – gdyby istniał – raj wyglądałby właśnie tak. Po raz kolejny przekonałam się, że tajemnicą udanej podróży jest przyjechanie gdzieś w odpowiedniej chwili, co ostatnio przekłada się na: w ostatniej chwili (zanim zamkną granice). Na Jukatanie pełno było antynarkotykowej policji i wojska, ale nasze walizki nie wzbudzały zainteresowania. Po raz kolejny też ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że polskie wycieczki znów zostawiły frywolny ślad w słownictwie językowo zdolnych kelnerów. W ciągu dziewięciodniowego pobytu zrobiliśmy prawie wszystko, co na Jukatanie zrobić się powinno. Spróbowaliśmy spać w hamakach, bo w nich właśnie, chętniej niż w łózkach, śpią tubylcy. Bezsenną noc spędziliśmy w szałasie z liści palmowych, gdzie co chwila podrywało nas na równe nogi pianie koguta, usiłującego pewnie w ten sposób przyspieszyć nadejście świtu. Uciekliśmy z Chichen Itzy, bo turystów więcej tam niż ziarenek piasku. Weszliśmy na najwyższą piramidę w miejscu miasta Majów Coba, z której wierzchołka rozciąga się wspaniały widok na poprzek ruinami dżungli. Piramida jest nie pilnowana i nie remontowana od czasów Majów. Pewnie z niej właśnie spadła J., bo co któryś turysta musi spadać. Gdy N. była tam przed nami, z czubka – jak po odeskich schodach – leciał aparat fotograficzny. Z mieszkającymi w Meridzie amerykańskimi przyjaciółmi – oraz całą ludnością tubylczą – kąpielą w Zatoce Meksykańskiej święciliśmy Semana Santa. Przy pełni księżyca pływaliliśmy w Morzu Karaibskim. Na tamtejszej plaży było rzeczywiście jak na prospektach biur podróży, które zwykle pokazują malownicze, pozbawione ludzi widoczki i dopiero wizja lokalna przynosi niespodziankę: jest prawie tak samo plus mrowie turystów. Woda w Morzu Karaibskim była turkusowa, piasek biały i ludzi mało, a ci, co byli – niezwykle uprzejmi. Najbardziej rajskie okazały się jednak cenote – jeziora w jaskiniach, w których pływa się w słodkiej, przefiltrowanej przez wapienne podłoże, pachnącej kwiatami wodzie, z dala od upału, wśród tropikalnej roślinności, wielkich żółwi i niewidomych rybek. Kto chce, może nurkować albo wpływać w podziemne zatoczki. Nad głową latają nietoperze. Majowie słusznie uważali cenote za prowadzące w zaświaty miejsca święte. Czuli w nich boga wody i deszczu, i składali ponoć ofiary z ludzi. Niepomni tak ponurej przeszłości, kąpaliśmy się w pięciu (na Jukatanie jest ich kilka tysięcy!), ale tylko dlatego, że na więcej nie starczyło czasu. Postanowiliśmy, że następnym razem niczym innym nie będziemy zwracać sobie głowy. I że wrócimy do rajów jak najszybciej. W Providence po raz kolejny okazało się jednak, że raje bywają zwodnicze. Ktoś wdarł się bowiem na konto M. i dokonał hojnych transakcji na Filipinach, w Hong Kongu i innych odległych miejscach. Ku naszemu zdziwieniu bank przyjął wiadomość o tym ze stoicyzmem. Zapewnił, że w ciągu dwóch tygodni wszystko odzyska. I gdy tak sobie siedziałam naprzeciw pogodnie do życia usposobionego urzędnika, tym razem porównując do rajów tę jakże sprawnie funkcjonującą instytucję, do banku wszedł pan z psem. Kiedy nikt nie zwrócił mu uwagi, dobrze już zadowolona w mojej głowie niebiańska wizja przybrała wyraz jeszcze jaskrawszy. We Francji, jak wiadomo, psy mają wstęp wszędzie. Tu dotychczas tak nie było, ale proszę! i stosunek do zwierząt zmienia się na lepszy! Rozmarzona patrzyłam na psa-giganta, który dłuższą chwilę stał nieruchomo przy nodze pana. Potem dziwnie zwiesił głowę. Jego brązowym, pokrytym bardzo kręconą sierścią grzbietem wstrząsnęły dreszcze. Świadoma nadchodzącej katastrofy byłam tylko ja, pana bowiem całkowicie absorbowwała pieniężna transakcja. Zbyt wiele odbyłam podróży z cierpiącymi na chorobę lokomocyjną czworonogami, by patrzeć dalej. Wiedziałam, co będzie: nie zważając na powagę miejsca i sytuacji – a także moje rajskie myśli – pies zwyymiotuje olbrzymią górę dymiącej, nie przetrawionej trawy. Chwilę później było po wszystkich. Pan, opanowawszy chęć ucieczki nim zauważą inni, półgłosem poprosił o papierowy ręcznik. Mój urzędnik nie spostrzegł niczego... Po raz kolejny rozstałam się z marzeniem o rajach. Nie muszę już, śladem Jarmuscha, jechać ani do Cleveland, ani na Florydę. Wiem, że inaczej niż w rajach jest wszędzie na świecie.

***CYKL TEKSTÓW „INACZEJ NIŻ W RAJU” AGNIESZKI TABORSKIEJ, UKAŻE SIĘ NAKŁADEM WYDAWNICTWA CZARNE, JESIENIĄ 2011 ROKU**

Zdjęcia/Photos:Wiesz O Co Chodzi?girlwithdifferentnoodles.blogspot.com



PAULA I KAROL OVERSHARE

„Paula i Karol wznieśli na polską scenę muzyczną zupełnie nową, iakość – zaskakującą dawkę szczerego optymizmu, skromność, niesłychaną energię podczas koncertów na żywo i samorodny talent.” – *Metro*

„Choć to debiutanci... należą już do wąskiego w naszym kraju grona artystów swobodnie posługujących się językiem muzyki popularnej na poziomie międzynarodowym. Równie dobrze mogli by zagrać w knajpie na Williamsburgu co w stołecznym Plamie B.” – *Pulp Magazyn Muzyczny*

Paula i Karol - dwu osobowy muzyczny przedsięwzięciem Karola Strzemińskiego (warszawskiego muzyka, socjologa, aktywisty) i Pauli Białkiej (kanadyjsko-polska doktorantka, pracownik Wydziału Kulturoznawstwa, Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej). Inspirowanie ich zarówno 2-step, muzyka akustyczna, folk rock jak i meksykańskie jedzenie, ser, północne Ontario, drzemki i ludzie płaćcy na koncertach Grupa powstała przede wszystkim z jednego konkretnego powodu – Paula i Karol chcieli podzielić się z publiką swoim podejściem do tworzenia i prezentowania muzyki. Zaczęli grać, korzystając wyłącznie z akustycznych instrumentów (gitara, skrzypce, glockenspiel, stare klawiszowe firmy Casio). Ich występy to zawsze bezpośredni kontakt ze słuchaczami.

Od powstania zespołu w kwietniu 2009, Paula i Karol grali na licznych festiwalach w Polsce (OFF, Operet, Jarocin), jak i za granicą (Fusion Festival pod Berlinem, Villa Reyjvík na Islandii), z rozszerzoną bandą udzielonym muzyków - Igozem Nikiforowem (członkiem też zespołu Stwory Wodne), który wzbogacił dotychczasowe instrumentarium duetu (gitara, skrzypce, glockenspiel) o melodię, harmonium i perkusję, oraz z Zofią Morus (bass, skrzypce, klawisz), Staszkiem Wróblem (perkusja, kontubas) i Krzysztofem Pożarowskim (bass, klawisz), Słuchacze otrzymują solidną dawkę niezależnego popu, w ciekawych aranżacjach z pogranicza alt country i miejskiego folku.

Ich debiutancka płyta studyjna 'Overshare' zawiera 10 premierowych kompozycji, opowiadających o dorastaniu w północnym Ontario, pieczeniu chleba na żółtoborzu, przypadkach na całe życie i przypadkowych znajomościach.

Poza Paulą i Karolem na płycie zagrali i zaśpiewali członkowie LADO rodziny - Zosia Morus, Staszek Wróbel, Igor Nikiforow, Krzysztof Pożarowski, Piotr Zubrocki, Raphael Rogiński, Szymon Najder, Christoph Thun-Hohenstein, i Karol Ozomek.

Ewa Borysewicz WSZYSTKO JEDNO



ewaborysewicz.blogspot.com

 **Przed czytaniem rozciąć przed rozcięciem usiąść!**

GEORGES PEREC

Urodziłem się

U

SERIA
POTENCJALNA
wydawnictwa
LOKATOR



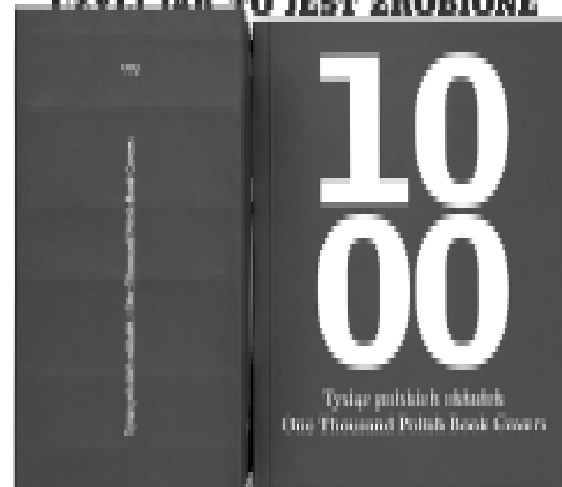
Georges Perec, *Urodziłem się. Eseje*,
pod red. Jacka Olczyka,
Wydawnictwo Lokator, Kraków 2011.

Urodziłem się – to zbiór blisko czterdziestu esejów Georgesa Pereca wprowadzających czytelnika w świat jego twórczości niejako od kuchni, ukazując mu na wzór *Prób* Montaigne'a jakiś fragment najbliższej, prywatnej rzeczywistości.

Perec przez całe życie próbował odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego piszę? – co robił, nie tylko definiując swoje książki i swoje pisanie, ale również podejmując najróżniejsze, wydawałoby się błahie tematy: wagarów, psychoanalizy, spacerów, okularów, sposobów układania książek, porządkowaniu swojego biurka, przepisów kulinarnych, skoków ze spadochronem, biurokracji, pozdrowień z wakacji, snów czy biograficznych mistyfikacji.

Zamieszczone w *Urodziłem się* eseje pierwotnie były publikowane przez Pereca w latach 1965-1982 w czasopiśmie, następnie po jego śmierci zostały wydane w czterech zbiorach, które polski czytelnik otrzymuje pod jedną okładką.

FUNDACJA SZTUKI NOWEJ
ZNACZY SIĘ
I HIPOPOTAM STUDIO
ZAPRASZAJĄ NA
TYSIĄC
POLSKICH
OKŁADEK
BEHIND
THE SCENES
CZYLI JAK TO JEST ZROBIONE



PIĄTEK, 14 STYCZNIA 2011, GODZ. 18
GALERIA ZNACZY SIĘ
UL. KOŚCIUSZKI 37, KRAKÓW

Otwarte codziennie od 10.00 do 1.00

LOKATOR STREFA WOLNEGO CZYTANIA styczeń 11

Galeria Klubu Lokator prezentuje:

FOTO MOZA IKA JOJO

20.01.2011 (czwartek), g. 20.00
Klub LOKATOR, ul. Krakowska 27
www.lokator.pointblue.com.pl



LOKATOR

WSTĘP 5 ZŁ

AUTOM ATOMY GRAJA KONCERT ITELEBŁYSKI

15.01.2011 g.20⁰⁰

LOKATOR

www.lokator.pointblue.com.pl

Klub LOKATOR, ul. Krakowska 27, Kraków
www.lokator.pointblue.com.pl

Kalendarz KLUBU LOKATOR i MAGAZynu MRÓWKOJAD
na rok 2011 dostępny od grudnia w księgarni LOKATOR

m*

LOKATOR

20 11

mrówkojad*



KLUB LOKATOR OTWARTY CODZIENNIE OD 10.00 do 1.00
KSIĘGARNIA od poniedziałku do soboty od 12.00 do 20.00
Kraków, ul. Krakowska 27



tel. 791946493 sklep muzyczny music shop skawinski.pl